

# Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Sierakowskiego № 21 m. 6.

Czynne od g. 12 — 2 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ:  $\frac{1}{1}$  strona — 80 zł.

$\frac{1}{2}$  „ — 40 „

$\frac{1}{4}$  „ — 20 „

$\frac{1}{8}$  „ — 10 „

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

## Zgon „Wielkiego Samotnika“.

Wielu było dyktatorów i władców absolutnych w Europie nawet w czasach nowożytnych. Nie brak ich i obecnie, bodaj więcej nawet, niż kiedykolwiek dawniej. W tej licznej galerji jednakże dwie postacie historyczne zajmują miejsce wyjątkowe: Napoleon i Józef Piłsudski. Obaj bowiem górowali nad swem otoczeniem jak Zeus nad Olimpem, obaj nie mieli towarzyszy i doradców, tylko posłusznych wykonawców, obaj wzniesli się na takie wyżyny, gdzie przebywali samotni i gdzie zdawali sprawę ze swych czynów i zamierzeń jedynie przed własnym sumieniem.

Żaden ze współczesnych dyktatorów nie posiada takiej pełni władzy i takiej niezależności w rządzeniu, jaka przypadła w udziale Piłsudskiemu. Ani Hitler, ani Mussolini, ani Stalin. Wszyscy oni stoją na czele pewni organizacji, a przez to samo są z nią związani i od niej podświadomie uzależnieni, chociażby żadne formalne więzy nie krępowały i nie ograniczały ich decyzyj. Każdy z nich ma zastępców i ewentualnie następców.

Piłsudski nikogo się nie radził i w żadnych kolegjalnych ciałach faktycznie udziału nie brał, chociaż nominalnie piastował tekę ministra wojny w szeregu gabinetów. Nie zajmując, poza dziedziną wojskowości, żadnego eksponowanego stanowiska, kierował jednakże nawą państwową za pomocą ślepo Mu oddanych wykonawców Jego planów i zamierzeń. Jeżeli ci źle się wywiązywali ze swych zadań, jeżeli nie umieli wyczuć jego intencji, usuwał ich i wskazywał innych, bardziej odpowiednich kandydatów. W ciągu ostatnich kilku lat nic się nie działo w polskiej polityce wewnętrznej i zewnętrznej, coby nie było zgodne z wolą Marszałka Piłsudskiego.

Od czasu zresztą zmiążdżenia opozycji sejmowej,

polityką wewnętrzną Piłsudski mniej się interesował, dając możność wypróbowania na tem polu swych sił i zdolności kilku premierom i poszczególnym ministrom. Polityka zagraniczna wszakże stanowiła przedmiot stałej Jego troski i czujnej opieki. Wszystkie ważniejsze posunięcia polskiego Urzędu Spraw Zagranicznych na arenie międzynarodowej były wynikiem osobistych dyrektyw Marszałka. Wiedziano o tem powszechnie, to też dyplomaci zagraniczni udając się do Warszawy, kierowali swe kroki przede wszystkim do Belwederu, a gdy ostatnio Laval nie został tam przyjęty - wskutek choroby Marszałka, fakt ten był komentowany szeroko przez opinię polityczną w Europie, nie poinformowaną o istotnym stanie rzeczy, jako objaw pogorszenia się stosunków między Polską a Francją.

Przypuszczenie powyższe okazało się mylnem, jednakże stanowisko Polski w ostatnich czasach było tak zagadkowe, że dawało powód do snucia najrozmaitszych przypuszczeń i domysłów. Nikt, prócz zapewne najbliższych współpracowników Piłsudskiego, nie wiedział, jakie są Jego plany i dążenia na bliższą, a tembardziej na dalszą przyszłość. Koncepcja Piłsudskiego wskrzeszenia Rzeczypospolitej w duchu tradycyj Jagiellońskich, jakiej hołdował wyraźnie w okresie, gdy był Naczelnikiem Państwa, którą usiłował zrealizować podejmując wyprawę kijowską oraz inscenizując akcję gen. Żeligowskiego, zdawało się, w czasach późniejszych została przezeń poniekąd ostatecznie. Zwłaszcza po zawarciu paktu o nieagresji z Sowiekami wyglądało, że polityka polska zerwała stanowczo z jakimkolwiek aspiracjami ekspansji na wschód. Nieoczekiwany zwrot w kierunku Niemiec, który niebawem nastąpił, dał znów politykom dużo do myślenia



i obudził nadzieje tych wszystkich, którzy traktat Ryski uważali za dotkliwą klęskę Polski. Trudno sądzić, czy te nadzieje były usprawiedliwione, gdyż Piłsudski powstrzymywał się od wszelkich wynurzeń i przyzwyczał opinię do niespodzianek, które wywoływały nieraz ogólną konsternację.

Naród polski—z wyjątkiem nielicznej i topniejącej wciąż opozycji z pod znaku Centrolewu i endecji—żywił jednakże tak głębokie zaufanie do politycznej mądrości swego Wodza, że nie rozumiejąc nawet tych lub owych Jego posunięć, przyjmował je z entuzjazmem, nie wdając się w żadną krytykę i próżne dociekania. „Marszałek wie, co czyni”—to zdanie często można było posłyszeć z ust nawet ludzi, pretendujących do miana działaczy politycznych.

Autorytet osobisty Piłsudskiego dawał się odczuwać ze szczególną siłą w dziedzinie zagadnień polsko-litewskich. Jak wiadomo, kwestja ta leżała specjalnie blisko na sercu Piłsudskiego i od Niego ogół oczekiwał jej rozstrzygnięcia. Nawet w Kownie panowało przekonanie, że nadejdzie moment, gdy Piłsudski przerwie swe milczenie i wyreknie decydujące słowo, które zapoczątkuje nową erę w stosunkach polsko-litewskich. Dlatego też wiązano tyle nadziei z zeszłoroczną wycieczką pułk. Prystora do Kowna. Czy istotnie Piłsudski miał zamiar uczynić krok pojednawczy i czy uważał za możliwe jakiegokolwiek ustępstwa w sprawie wileńskiej, jakie widział wreszcie wyjście z obecnego impasu — o tem wiedzą chyba tylko ci, którym się zwierzał Marszałek ze swych zamysłów. Ale czy są tacy? *That is question.*

\*

Pytanie powyższe będzie wciąż powstawało, gdy życie wysunie to lub owe zagadnienie, zaha-

czające o ideologję Marszałka. Kto będzie najtrafniejszym jej interpretatorem i wyrazicielem, jeżeli powstanie różnica w zdaniach? Nie każdy przecież „piłsudczyk”, nie każdy najgorętszy wielbiciel pamięci Zmarłego może rościć pretensję do roli Jego duchowego spadkobiercy. Mamy tego wymowny przykład w artykule „Słowa”. Nawiązując do słów Marszałka, wypowiedzianych przezeń w Wilnie w r. 1922 pod adresem Litwinów, o których się wyraził, że mimo przedziału, jaki się wytworzył, „nie może nie uważać ich za braci”, p. W. Ch. dodaje od siebie, że gest ten nie został doceniony przez „skarłowaciale duchowo plemię dzisiejszych Litwinów”. Tych więc, kogo Piłsudski uważał za swych braci, „Słowo” pogardliwie przezywa „karłami”. Trudno o bardziej rażące sponiewieranie uczuć i myśli uwielbianego, lecz nierozumianego Wodza. To, co dla Piłsudskiego było dramatem dziejowym, dla wielu jego powierzchownych adoratorów było i jest tylko aktem radosnego triumfu... Takie nieporozumienia będą zachodzić często, a im dalej w przyszłość, tem będzie ich więcej.

Krążą pogłoski, że Piłsudski pozostawił testament polityczny, a w każdym razie podobno udzielił wyraźnych wskazówek co do personaliów i obsadzenia czołowych stanowisk w państwie. Jeżeli jest tak, to niewątpliwie przez czas pewien linja, wytknięta przez Zmarłego, zarówno w polityce wewnętrznej, jak zewnętrznej, nie ulegnie skrzywieniu. Ale z biegiem czasu zejda z widowni i ci najbliżsi następcy. Zresztą tylko wyjątkowi ludzie nie ulegają duchowym przeobrażeniom i wpływom postronnym. Zmieniają się też konjunktury, wymagając samodzielnej oceny i decyzji. A co najważniejsza, zabraknie jednej woli, dzierżącej wszystkie nici złożonego mechanizmu państwowego i poruszającej go w okre-

## Tyzenhauzowski fajerwerk na Horodnicy\*).

Tłem rozgłosnej działalności podskarbiego nadwornego litewskiego Antoniego hr. Tyzenhauza w Grodnie, wtedy i dziś, była często wymieniana Horodnica, przedmieście grodu nadniemeńskiego, biorące swą nazwę od wijącego się zygzakami przez całe miasto strumyka Horodniczanki. Przedzielone nią Grodno w. XVIII, składało się jakby z dwóch mało podobnych do siebie osad. Między Niemnem a Horodniczanką, na łagodnie spadzistej płaszczynie, żyło Grodno J. K. Mości, ze świątyniami różnych wyznań i pałacami magnatów, z magistratem i trybunałem, z wagą i miarą, gwarne, pieniackie a rozpolitykowane. Tuż jednak za Horodniczanką, na prawym, a bardzo zadrzewionym, jej brzegu, kontrastowo rozsiadły się, od historycznej Kołoży aż do Stanisławowa, wygodne rezydencje obywatelskie (Zawierszczyzna, Waliczczyzna, pałac książąt

Czetwertyńskich, Mironowszczyzna), a wśród nich właśnie rozległe zabudowania ekonomji królewskiej, której główny gmach, zwany czasem pałacem, czasem nawet zamkiem, wzniesiony został w stylu epoki, według planów sprowadzonego z Włoch architekta, majora Sacco \*).

Cienisty dokoła park o wiekowych drzewach, tak liściastych, jak iglastych, posiadał ładne trawniki, klomby kwiatowe i wodotrysk. W cieniu tych drzew, przy cichym szmerze przepływającego w pobliżu strumyka, mając z jednego boku krajobraz już wiejski, z drugiego zaś tętniące w w. XVIII życie Grodno, dumal Tyzenhauz nad zbudowaniem prawie obumarłego życia W. Ks. L., czynił obserwacje głębsze, stawiał śmiało wnioski i obmyślał środki ku ich urzeczywistnieniu. Podskarbiego otaczały na Horodnicy gust, wytworność, harmonja, nie było jednak ani zzewnątrz, ani wewnątrz pałacu przepychu, przesady i nagromadzenia szczegółów dekoracyjnych. Gmach był poważny a zadumany. W obu skrzydłach

\*) Artykuł poniższy, napisany w 1904 rocznicę zgonu podskarbiego Antoniego Tyzenhauza, przypadającą w d. 31 marca, nie mógł się ukazać w czasie właściwym z powodu braku miejsca. (Red.).

\*\*) Historyczny ten pałac spłonął doszczętnie w sierpniu 1915 r. Szerzej jego historia omówiona w jednodniówce grodzieńskiej *Głosy z nad Niemna* (1917).



ślonym kierunku. Społeczeństwo, wpatrzone dotąd w autorytet jednostki i nawykłe do biernego wykonywania płynących zgóry zarządzeń, poczuje się niebawem bezradnym i pełnym wątpliwości.

To, co stanowiło o sile Piłsudskiego, Jego odosobnienie i wzniesienie się na szczyty, dokąd nie sięgał nietylko tłum, lecz i rządząca elita, jest jednocześnie słabą stroną pozostawionego przezeń spadku. Autorytet duchowy nie zastąpi na stałe organizacji. To też niedziw, że Cat pod świeżym wrażeniem katastrofy wołał z przerażeniem: „w sercach i umysłach odczuwamy jakby huk i łoskot zbliżającego się trzęsienia ziemi”.

Wileński Komitet Obywatelski (formalnie narazie Sekcja Komitetu) powziął uchwałę wzniesienia w Wilnie monumentalnego pomnika Marszałka Piłsudskiego staraniem i siłami wyłącznie ludności naszego kraju.

Zamiar niewątpliwie chwalebny, ale czy wykonalny? Czy biedny nasz kraj zdobędzie się na tak wysiłek materialny? Pecież pomnik Mickiewicza dotąd nie może doczekać się odsłonięcia, chociaż składki nań płyną od kilku lat z całego państwa. Oby nowego projektu nie spotkał ten sam los, jaki spotkał inne podobne piękne projekty pomników: W. Ks. Witolda, Wyzwolenia i t. d.

Jedno nie ulega wątpliwości: uchwała Komitetu Obywatelskiego odsunie na czas nieokreślony moment realizacji dzieła prof. Kuny, z czego nie można się, nie cieszyć. Szkoda tylko o wiele zawczasie wyciętych lip na placu Orzeszkowej.

## Lekarstwo gorsze od choroby.

Nowa konstytucja nie wywołała głębszego wrażenia w szerokiej opinii publicznej. Taka, czy inna teoria nie zmienia w niczem rzeczywistości, ta bowiem kształtuje się pod wpływem nie ogólnikowych

z pruskiego muru, lecz przykrytych tynkiem, mieściły się biura ekonomji, by zostawać w najbliższym kontakcie z gospodarzem.

Gdy się mówi i pisze o Tyzenhauzie, nie podkreśla się w mierze dostatecznej tak ważnego momentu, jak kwestja przygotowania Podskarbiego do podjęcia tak wielkiego dzieła. Otóż Józef Wybicki w swych *Pamiętnikach* mówi, że Tyzenhaus *wiele* podróżował po Niemczech, Francji i Holandji. Niewątpliwie zestawienie przodujących postępowaniem, pod względem gospodarczym i technicznym, krajów Europy Zachodniej ze straszliwie zacofanym i upośledzonym własnym, rozplcmieniło w tym człowieku czynu entuzjazm do dorównania za każdą cenę pierwszym. Też metody poglądowej używał Tyzenhaus, gdy upatrzył kogo sobie na pomocnika i wykonawcę twórczych zamierzeń. Tak wysłany był przez niego Downarowicz do Anglii na trzyletnie studia; słynny matematyk, który oczyścił Niemen od kamieni, o. Narwojsz T. J., jeździł do Niemiec, Holandji i Anglii, dla zwiedzania fabryk i zakupu instrumentów astronomicznych. Tyzenhaus sprowadzał z zagranicy nietylko instruktorów i kierowników fachowych, lecz też i robotnika wykwalifikowanego, którego kraj nasz

zasad, lecz ustaw wykonawczych. Dlatego też projekt ordynacji wyborczej spotkał się z o wiele większym zainteresowaniem wśród inteligentnego ogółu.

Nie można powiedzieć, aby projekt ten został przyjęty z entuzjazmem. Raczej mocno krytycznie, nawet ze strony kół zbliżonych do Bloku Bezpartyjnego. Jak wiadomo, myślą przewodnią projektu jest usunięcie od wyborów partyj i grup politycznych. Z powyższą modną dziś tendencją świetnie rozprawia się „Nasz Przegląd”.

Przed zakomunikowaniem zasad nowej ordynacji wyborczej — czytamy tam — p. premier Sławek wygłosił dłuższe przemówienie, w którym wyluszczył wady istniejących u nas stronnictw. W tej krytyce nietylko jest wiele słusznego, ale, pomimo jej całej surowości, nie jest ona jeszcze wyczerpująca.

O ile jednak słuszną była krytyka stronnictw, o tyle problematyczny jest sposób uleczenia tych ułomności, na które partje cierpią. Mówca chce przeciwstawić programowi partyjnemu — zaufanie do jednostek. Zaufanie jest rzeczą względną i różnorodną. Gdy na mocy zaufania wybieram kasjera lub inkasenta, mam na względzie uczciwość tych kandydatów: mogą to być ludzie bodaj głupi, byleby nie ukradli powierzonych im przezemnie pieniędzy. Innych kwalifikacyj żąda się od dyrektora: tu już nie wystarcza zaufanie do jego uczciwości, lecz konieczne jest zaufanie do jego rozumu, fachowości, uzdolnienia do interesów. Całkiem inny rodzaj zaufania wymagany jest od posła.

Toć posłowie mają wybierać rząd, kierować jego sprawami, obdarzyć go zaufaniem, lub odmówić mu tego zaufania, pochwalić go lub zganić. W tym celu muszą mieć program, aby porównać z nim program rządu, i pod tym kątem widzenia go sądzić. Cóż stąd, że posłowie będą zasługiwać na zaufanie ze stanowiska rzetelności? Cóż z tego, że znać będą doskonale potrzeby miejscowe, że wiedzieć będą, iż w tem miasteczku potrzebny jest mostek, a na tej wsi szosa?

Nie trzeba także zapominać, iż stronnictwo jest kompromisem poglądów licznych milionowych grup ludzkich. Każdy człowiek inteligentny ma swój

nie miał podostałkiem, a tak bardzo potrzebował.

W zakładach Tyzenhauza pracowali prawie wyłącznie cudzoziemcy: Francuzi — w warsztatach jedwabniczych, Niemcy — w sukienniczych, Włosi i Belgowie jako malarze i lakiernicy, Szwajcarowie przy bielnikach płócien, Czesi w browarach i t. d. Robotników na Horodnicy było 3.000, a kierowników i dozoruujących 70. (Jodkowski i in.). Tych 15 fabryk zajmowało 13 placów.

Jak wielkie wówczas było nasilenie Grodna elementem obcokrajowym i inowierczym naogół, a niemiecko-luterskim specjalnie, świadczą ponadto takie fakty, jak ten, że dopiero za Tyzenhauza istniała w Grodnie na Horodnicy potrzeba wniesienia zboru luterskiego, który miał obsłużyć potrzeby religijne tej rzeszy robotniczej. Niemniej wymownie o tej liczebności elementu obcego w ówczesnym Grodnie świadczy, że założony tu (przeszło 150 lat temu z zapisu p. Bessowej) stary cmentarz ewangelicki musiano zamknąć, jako zapełniony już przed 50 laty i otworzyć nowy, który też szybko się zapełniał mogiłami Niemców ewangelików. O tyzenhauzowskim zborze luterskim i dawnym jego cmentarzu, jako dowodach liczebności luteranów grodzień-



pogląd polityczny, swój program. Ponieważ jednak obradowanie kilkuset ludzi o rozbieżnych zapatrywaniach byłoby niemożliwe i nie doprowadziłoby do żadnego konkretnego czynu, to ci ludzie najprzód wykładają się w domu, porozumiewają się na pewnych punktach i w ten sposób tworzą partję. W parlamencie zjawiają się tedy już gotowe stronnictwa, które bądź zawierają między sobą kompromis, bądź też rozstrzygają większością głosów. Wiemy jak trudno jest dojść do ładu kilku partjom, a cóż dopiero będzie, gdy trzeba będzie doprowadzić do jednego mianownika poglądy poszczególnych jednostek, bodaj najbardziej uczciwych i miłujących swój kraj i jego obywateli. Toć to będzie ucieczka z deszczu pod rynnę. Jeszcze gorzej będzie, gdy ci posłowie wcale nie będą mieli programów politycznych, lecz aspiracje partykularne. Toć dla każdego takiego posła jego mostek i jego szosa będą sprawami najważniejszymi, choćby dlatego, że jak nie przywiezie tego prezentu wyborcom, to stracą do niego zaufanie.

Trudno sobie wyobrazić, aby sanacja nie wiedziała o rzeczy tak elementarnej, aby nie pojmowała, że sejm chaotyczny, sejm na podobieństwo wieży Babel będzie gorszy niż sejm partyjny. To też widzimy, że ordynacja wyborcza, konkretnie, choć przez sanację opracowana, wcale nie odpowiada wstępowi o zniszczeniu partyj. Podstawa tej ordynacji wyborczej polega na tem, że listę kandydatów przedstawić mają nie obywatele, lecz zgromadzenia okręgowe, w których skład wchodzi delegaci wszelakich instytucji wybieralnych. A skąd się te instytucje wzięły? Czy spadły z nieba? Bynajmniej. Zostały także wybrane, a ponieważ w Polsce, jak zresztą i na pozostałym świecie, wybory odbywały się dotychczas — nawet do ciał komunalnych — według kryterjum partyjnego, więc i te zgromadzenia w zasadzie składają się z partyjników. A ponieważ jedni partyjnicy pewnością wybiorą drugich partyjników, więc partyjnictwo wyrzucone przez drzwi, wejdzie przez okno. Gorzej jeszcze. Drzwi są szersze niż okno, więc partyjnicy, jacy wyjdą ze zgromadzeń, będą ludźmi ciaśniejszymi, węższymi pod względem umysłowym. Nie będą to partyjne tuzy,

lecz partyjne pionki, a tacy ludzie są zwykle zawzięci, fanatyczniejsi, mniej układni i mniej pojętni. Gdyby tedy owe zgromadzenia wyborcze naprawdę składały się z jednostek obdarzonych zaufaniem przez społeczeństwo, to uprzykrzyłyby rządowi życie.

Sanacja ma w swem gronie polityków zbyt mądrych, zręcznych i doświadczonych, aby można było posądzać ją o taką naiwność, o działania na na własną szkodę, która tym razem jest także szkodą społeczeństwa. Ale widocznie wie ona również o czem innym: o tem, jak wygląda u nas nie jakaś tam abstrakcyjna zasada, ale rzeczywista rzeczywistość. I my zresztą o tem wiemy. Wiemy, że te wszystkie ciała wyliczone w ordynacji, a które mają się składać na zgromadzenia wyborcze, nie wyszły zawsze z wyborów, lecz często z nominacji. Wiemy także, że przy wyborach dwustopniowych łatwiejsze jest oddziaływanie. W tych wypadkach istotnie *stronnictwa* zginą, ale na ich miejsce zjawia się... *stronniczość*.

Najdobitniej nowa ordynacja da się scharakteryzować przy pomocy dwóch przykładów: Łodzi i Warszawy. Przypuśćmy, że kolegijum wyborcze w obu tych miastach wyłaniają rady miejskie. Z Łodzi wyjdą sami tępi endecy, którzy nie dopuszczą zapewne ani jednego kandydata z innej grupy, jako Żydów lub pół Polaków. Z Warszawy zaś mianowacymy sanacji wyłonią kandydatów na swój obraz i podobieństwo. Mniej więcej tak wybory wyglądają będą w całej Polsce: albo *stronnictwa* albo *stronniczość*.

W świetle tej rzeczywistej rzeczywistości wygląda nieco inaczej postępowy, wolnościowy i tolerancyjny ustęp, jaki premier poświęcił mniejszościom narodowym. Dotychczas narodowości w Polsce wybierały według zasady takiej, że Polak wybiera Polaka, Ukraińiec Ukraińca, a Żyd Żyda. Była to wprawdzie zasada może „konserwatywna“, ale oparta u inoplemieńców na gorzkim doświadczeniu, że tylko członek danej narodowości umie i chce bronić jej najżywoźniejszych interesów. Tak zresztą jak w Polsce postępują Ukraińcy, Żydzi i etc., czynią w innych krajach Polacy, a więc widocznie zasada ta oparta jest na psychologii powszechnej, nie-

skich, znajdziemy o wiele więcej ciekawych szczegółów w będącej już dziś rzadkością bibliograficzną broszurze Juliusza Marti, wydanej w Mitawie p. t. *Die Festschrift der Grodnoschen ev-lutheranischen Kirche*.

Katolicy stanowili tylko mniejszość tyzenhauzowskich robotników i robotnic, więc coś 300 chłopców i 100 dziewcząt.

Jeśli teraz weźmiemy pod uwagę krótkość działalności Tyzenhauza w Grodnie, jak też, że w r. 1765 — data jej początku — nie mogło wszystko naraz być gotowe i puszczzone w ruch, lecz musiało przechodzić pewne etapy rozwojowe, to nie możemy się spodziewać, by *genjusz, którego litewskie puszczki wydały*, mógł duże kadry robotnika fachowego wysłać spośród mieszczaństwa grodzieńskiego i włości miejskich. Dlatego Podskarbi miałby pewne prawo odezwać się do współczesnych sobie Grodnian słowami: *Non vos, sed vobis*. *Nie wy tu coś zrobiliście i macie jakieś w tem zasługi, lecz zrobiono to dla was*. Umieście przynajmniej skorzystać.

Nastawiony na tyle naraz zagadnień praktycznych, Tyzenhauz był jednocześnie nielada fantastą. Tak oto, tworząc na Horodnicy dobrze pomyślany

kantor kupiecki *J. Becu et Comp.*, zakłada on w tymże czasie — w mieście pozbawionem szkół wyższych! — pierwszy w Rzeczypospolitej ogród botaniczny, do którego sławni botanicy angielscy, austriaccy, rosyjscy przysyłać będą najrzadsze rośliny i najsłynniejsze flance. Chylimy czoło, czytając jak Sacco kopie kanały (t. zw. kanał Tyzenhauza, łączący jeziora na północy pow. grodzieńskiego z rzeczką Pyż), osusza bagna, oczyszcza łożysko Niemna od kamieni... lub jak powstają na Horodnicy szkoły buchalteryjna, miernicza i in., jak reformuje się pojezuicka drukarnia, gdzie się tłoczyć będzie „Gazeta Grodzieńska“, lecz wruszamy ramionami na projekt urządzenia w Grodnie obserwatorium astronomicznego, a jeszcze bardziej... *Akademji Nauk*, bo i taki istniał! Pocziwy, małoalfabetyczny ludek grodzieński potrzebował wtedy nie Akademji Nauk, lecz dobrych a licznych szkolek parafjalnych, których miał o wiele za skąpo. Potrzebne były Grodnu i rosły wtedy jak grzyby po deszczu mosty, młyny, huty, garbarnie, olejarnie, krupiarnie i in. przetwórcze surowców krajowych, zato zgoła zbędną była szkoła baletu... Wielkopańską fantazją Podskarbiego był również pomysł zaproszenia w r. 1778 przez bawia-



mal wszechświatowej. Ale nie wolno być fanatykiem. Być może reforma zapowiadana przez p. premjera Sławka zapowiada nową erę: precz z separatyzmem wyznaniowym, narodowościowym, jak i z odrębnością partyjną! Niech sobie tu Rusin, Niemiec, Żyd reprezentuje Polaka, a tam Polak zastąpi tamtych. Pięknie, ale ten system byłby godny wypróbowania, gdyby owe kolegja wyborcze były naprawdę oparte na instytucjach wybieralnych.

Tymczasem wiemy przecież, jak jest istotnie...

## Jak należy szerzyć Unję?

Za czasów króla Zygmunta, słynny jego błazen Stańczyk wygrał zakład, kiedy w dyskusji na temat, jaki fach ma najliczniejszych przedstawicieli, oświadczył, że najwięcej jest lekarzy. Na dowód podwiązał sobie szczękę, jak gdyby go bolały zęby i chodził po mieście, a wszystkim spotkanym znajomym uskarżał się na rzekome swoje cierpienie: każdy zaś z napotkanych radził Stańczykowi taki lub inny środek na ukojenie bólu zębów. Stańczyk wyjmował notes i zapisywał w nim imię i nazwisko udzielającego porady. I zakład wygrał.

Dzisiaj bodaj że możnaby się założyć, iż najwięcej jest arcykompetentnych znawców zagadnienia unji kościelnej. Różni różne w tej sprawie mają zdanie, ale naogół tych „nieomylnych“ doradców możnaby podzielić na cztery grupy.

Najpierwej dajmy głos konwertytom z prawosławia. Ci przeważnie (choć nie wszyscy), twierdzą, że w unji wszystko ma pozostać zupełnie tak samo, jak w prawosławiu. A więc: duchowieństwo powinno nosić także rjasy i podrjaśniki, zapuszczać brody, mieć żony, nie odprawiać codziennie liturgji, a zwłaszcza czytanej, nie wprowadzać jakichkolwiek dodatkowych nabożeństw, nieużywanych w prawosławiu. Słowem nie chcą niczem się różnić od tych, z którymi zerwali.

Przeciw takim radom i wskazówkom powstają

zresztą niektórzy tacyż konwertyci, twierdząc, że skoro się zerwało z prawosławiem, to właśnie trzeba starać się, by różnica była widoczna, by nikt nie miał powodu twierdzić, że księża unicy są nieszczerzy, że udają prawosławnych i t. p.

Drugą dość poważną grupę stanowią działacze białoruscy i ukraińscy, którym w pierwszym rzędzie chodzi o to, by Kościół czy też Cerkiew służyły sprawie narodowej. Tym nie zależy ani na tem, by Unja zewnętrznie była identyczną z prawosławiem, ani też, by do niego podobną nie była. Twierdzą oni, że warunkiem powodzenia akcji unijnej jest, by duchowni unicy przemawiali do wiernych w ich rodzimym języku, a więc po białorusku, względnie po ukraińsku, nie zaś jak chce protojerej Hapanowicz i wielu innych, po rosyjsku, lub, jak chcą redaktorzy czasopisma krakowskiego „Unja”, po polsku.

Do trzeciej grupy właśnie zaliczam autorów pomienionej „Unji” i jej zwolenników, jak również i publicystów z wileńskiego „Słowa”. Ci, nie przyznając się otwarcie, że im wcale nie chodzi o stronę ściśle religijną, a jedynie o to, by ludność, dzisiaj prawosławną a pod względem narodowościowym nieświadomioną, jak najprędzej spolszczyć, udają, że najlepiej rozumieją nastroje duszy tegoż ludu i utrzymują, że właśnie ten lud pragnie by wszystko i wszędzie było po polsku! A więc Albertyn zdradził sprawę, bo przemawia do wiernych po rosyjsku i po białorusku (właściwie żadnej narodowości białoruskiej wg. ich niema, są tylko manjacy, zdrajcy sprawy polskiej, którzy starają się stworzyć jakąś nację białoruską, co jednak im się nie uda). Papieskie seminarjum w Dubnie również stoi na niewłaściwym gruncie, gdyż zamiast szerzyć w Polsce kulturę polską, nawet rodowitych Polaków zmusza do uczenia się gwary białoruskiej i „rusińskiej”, językowi polskiemu udzielając tyleż tylko miejsca, ile owym gwarom.

Na niewłaściwe tory, według zdania tych panów, skierowane są wszystkie dotychczasowe placówki i instytucje unijne, nie wyłączając i pińskich konferencyj, dopuszczających całkiem niepotrzebnie wielojęzyczność i uchwalających tak nietaktowne

cego w Paryżu Tyzenhauza, (za pośrednictwem ks. Ksawerego Bohusza) znanego filozofa J. J. Rousseau do puszczy Białowieskiej, gdzie mu obiecał wystawić dom, dla realizowania głoszonych teoryj. Rousseau spoczątku był już gotów jechać na Litwę, jednak w końcu nie zdecydował się na tę ekscenryczną propozycję i wybrał na siedzibę Ermonville.

Pensja Tyzenhauza wynosiła w Grodnie 40 000 złp. Jednak nie wystarczała mu. Zaciągnięty przez króla dług w banknotach holenderskich, zastawiony na ekonomji grodzieńskiej, a wynoszący w złp. 11.000 000, tylko z trudem mógł on spłacić, a pod koniec już i nieakuratnie. Nie, nawet względne szczęścia nasz Podskarbi dużo nie znalazł. Brakowało mu doń rzeczy najważniejszej... spokoju.

Wskutek licznych braków organizacyjnych dzieło Tyzenhauza poczęło wyraźnie się rysować *od wewnątrz*.

Lecz czy nie brakowało też czynników, co pracowały w tym kierunku *od zewnątrz*? Tyzenhauz był ściśle związany z rodem książąt Massalskich. Właśnie starosta grodzieński Józef Massalski zrobił Tyzenhauza podstarościm grodzieńskim i tem zapoczątkował jego świetną karierę, a nieszczęśliwy bp. Massal-

ski był jego przyjacielem. W równej mierze za to drugi naówczas polityk w fioletach, bp. inflancki Kossakowski był jego nieprzyjacielem. Co się tyczy posła rosyjskiego w Warszawie Stackelberga, to ten już był wyraźnym wrogiem Podskarbiego. Doprawdy łatwo było w takich warunkach zaplątać się w sieci intryg i przepaść z kretesem.

Nie potrzebujemy tu ustalać, co więcej, a co mniej, co wprost, a co pośrednio, przyczyniło się do upadku Tyzenhauza. Skoro tylko Warszawa dowiedziała się o tem, że wypłacalność Podskarbiego chwiać się zaczyna, skorzystała z tego pretekstu, by wysłać do Grodna na Horodnicę jego wroga osobistego, podkomorzego warszawskiego Walentego Sobolewskiego, dla odebrania od Tyzenhauza wnet całej władzy. Tymczasem trybunał 12 tu rozpoczął badanie sprawy i nietylko wydał wyrok ujemny, lecz za namową b. pa Kossakowskiego, złupił Tyzenhauza na ogromną sumę 4.000.000 złp. nawet z prywatnej własności. Warcholski parlamentaryzm polski zgłębił wtedy człowieka czynu.

Tyzenhauz *w rezultacie musiał wyjść z kijem w rżku z Horodnicy i szukać przytułku w kolegjum po-Jezuickim* w Grodnie. Stało się to w r. 1780.



i niepożądane rezolucje, jak 4 a rezolucja II jej konferencji, wymagająca, „aby w głoszeniu słowa Bożego w świątyniach katolickich obrządku wschodniego był używany język ojczysty wierzących, zatem dla Polaków—polski, dla Ukraińców—ukraiński, dla Białorusinów—białoruski, dla Rosjan—rosyjski i t. p.

Jedynie racjonalną akcją unijną byłaby według nich wtedy, jeśliby przywróconą była unja w tej formie, w jakiej była przed kasatą, a więc w cerkwiach unickich nie powinno być ikonostasów, natomiast winny być organy, w kazaniach należy używać tylko języka polskiego, wprowadzić do tychże cerkwi śpiewanie godzinek, różańca, gorzkich żalów i innych śpiewów w języku polskim... Takiej tylko unji pragną panowie Charkiewicz et consortes.

Edeckie te poglądy mają jednak licznych i stanowczych oponentów. Pracownicy unijni ze wszystkich bodaj placówek twierdzą kategorycznie, że żaden przeciwnik unijny nie może przynieść tyle szkody akcji zjednoczeniowej, ileby wyrządzili kapłani unicy, gdyby zechcieli pracować w myśl powyższych postulatów. Unja w ten sposób zabita byłaby w samym jej zarodku.

Na czwartym miejscu wreszcie postawimy zdanie Stolicy Apostolskiej i instytucji od niej zależnych, polegające na tem, że przy prowadzeniu akcji unijnej, nie wolno mieć na celu ani przekształcania obrządku, ani wynarodawiania kogokolwiek, ani wprowadzania czegoś nowego, co by mogło neounitom się niepodobać i prawosławnych od unji odstraszać, należy zaś dążyć jedynie do tego, by braci odłączonych przyłączyć do Kościoła katolickiego.

Praktyka dowodzi, że właśnie takie stanowisko jest słuszne i celowe, gdyż unja jednak wciąż się szerzy, pomimo różnorodnych trudności, jakie napotyka, a twierdzą pracownicy unijni, że mogłaby się szerzyć wprost żywiołowo, jeśliby była dostateczna ilość odpowiednich księży misjonarzy i środki na ich utrzymanie i na budowanie świątyń unickich. Kto pragnie języka polskiego, godzinek i różańca w języku polskim, temu otworem stoją kościoły katolickie obrządku łacińskiego, a żadne prawa ani

kościelne, ani cywilne nie stoją na przeszkodzie prawosławnym do przechodzenia na katolicyzm obrządku łacińskiego.

*Activus.*

## Teorja a praktyka.

Gdy zostało założone w Wilnie gimnazjum litewskie, na początku nie było żadnych ograniczeń co do przyjmowania dzieci do szkoły. Kto chciał, ten mógł oddać swego syna lub córkę do gimnazjum litewskiego. Wydawało się zresztą mało prawdopodobnym, aby z tej możliwości zechcieli skorzystać rodzice innej narodowości, prócz litewskiej.

Na wiosnę 1932 r. jednakże Kuratorjum zażądało, aby rodzice oddając swe dzieci do gimnazjum składali deklarację pisemną, że dane dziecko jest narodowości litewskiej, przy czem wystarczało podpisanie deklaracji w obecności dyrektora gimnazjum.

W dwa lata później Kuratorjum uznało, że poświadczenie dyrektora jest niedostateczne i zażądało, aby własnoręcznie podpisane deklaracje były stwierdzone przez władze.

Wreszcie w roku bieżącym Kuratorjum wydało nowe zarządzenie, na mocy którego deklaracje rodziców mają być zaopatrzone w klauzulę tej treści: „Zarząd gminy (Magistrat) stwierdza niniejszem, że... ze względu na używanie w mowie potocznej języka litewskiego jest uważany za należącego do narodowości litewskiej”.

Z tego widać, że zasada subiektywna przy określaniu przynależności narodowej nie jest bynajmniej uznawana tak szeroko i powszechnie, jak to twierdził p. Leon Wasiliewski i inni teoretycy przy omawianiu prac przygotowawczych do powszechnego spisu ludności.

## Z Sachary na Polesie\*).

Rozgłośny opisami swych egzotycznych podróży, pełnych niesamowitych przygód, jakie zjednały

\* F. Ant. Ossendowski. *Polesie*. Poznań 1934.

Wstrząs ten podziałał tak silnie na ex-Podskarbiego, że znękany dostał lekkiego obłąkania i w ubóstwie życia dokonał. Czas pewien podobno mieszkał Tyzenhauz na Śnipiszkach w Wilnie, natomiast uchodził za pewnik, że wybawicielka śmierć zastała go 31 marca 1785 r. na Lesznie w Warszawie, dokąd się przyczółgał biedny starzec.

Przyjaźni Podskarbiemu wierny był do zgonu tylko ks. Bohusz. Fala podbechtanej opinii, która tak szybko urosła, poczęła rychło opadać i miejsce sądów stronnicych zajęły przedmiotowe a nawet życzliwe. Ta zmiana musiała być oczywista, skoro tenże ks. Bohusz zaproponował wystawić Tyzenhauzowi, w drodze składek publicznych, pomnik przy *Horodnickim moście* (łączącym właściwe Grodno z Horodnicą) lub w jakim innym miejscu. Pomnik kościelny w Farze grodzieńskiej stanął dopiero w sto kilkadziesiąt lat później. Gdy po zamierzeniu zburzenia w Grodnie pomnika niewoli, cerkwi św. Aleksandra Newskiego, otworzy się piękna perspektywa na Horodnicę, gród nadniemeński otrzyma tu wymarzony plac dla monumentalnego już pomnika Tyzenhauza.

\*

Taki był początek, przebieg i koniec tyzenhauzowskiego fejerwerku na Horodnicy pod Grodnem. Ze zdumieniem i zachwytem patrzyła wtedy cała Rzeczypospolita na to, co się działo na Horodnicy. Już Grodna samego nawet nie wymieniano, mówiono o tem przedmieściu jego wprost, bez żadnych komentarzy i dodatków. Tyle umiało skupić ono na sobie uwagi kraju, a nawet zagranicy. Tak, i zagranicy, bo nie kto inny zainteresował się też wówczas zapalonemi tu ręką podskarbiego Tyzenhauza ogniami sztucznymi, jak *Jego Cesarska i Apostolska Mość Józef II*. Niestrudzony daleką podróżą z Petersburga, zatrzymał się w Grodnie tylko po to, by zwiedzić Horodnicę. Lecz nie tylko barwnością i rozgłosem pomysłów działalność tyzenhauzowska na Horodnicy przypominała widzom ognie sztuczne, lecz też niestety, gryzącym a przykrym swądem, bez którego epilog się nie obszedł.

Potomność słusznie jednak woli pamiętać tylko kolorowość i ekscentryczność zjawiska.

*Gardiner.*



autorowi niemało czytelników, lecz też niemniej sceptycznych krytyków, Fr. Ant. Ossendowski przetrzucił się od lat paru na krajoznawcze pisarstwo, którego plonem jest wydany już tom, poświęcony Polesiu i drugł, będący jeszcze na warsztacie o Wileńszczyźnie.

*Polesie* zapewne kosztowało autora co najmniej paru podróży, podczas których przejechał je wzdłuż i wszerz, zwiedzając wybitniejsze miasta i osiedla. Niezawodnie też przeczytał niejeden istniejący już opis ziemi Poleskiej, jednocześnie zaś wynotował sobie z biur urzędów tamiecznych szereg danych statystycznych. Reszta poszła łatwo. Wymowny podróżnik, autor szeregu dzieł o krajach dalekich, wprawny w opisywaniu przeróżnych ziem z ich osobliwą florą i fauną, mógł napisać swą rzecz o Polesiu nawet w ciągu kilku miesięcy. Praca ta była dlań więcej zabawą i wytchnieniem niż żmudnym trudem.

W syntetycznym opisie Polesia nie zabrakło we wstępie prób nawiązania wątku narracji do więcej niż bałamutnych wywodów Herodota, Plinjusza i Tacyta, którzy kraj ten jakoby już znali i o nim nawet *de nomine* napomykali... Całość Polesia, jak wiadomo, przepołowionego traktatem ryskim, obejmuje 100.000 klm.<sup>2</sup>, na jakich siedzi 2.000 000 Poleszuców. Na 3.000 jezior poleskich naogół, polska ich część wynosi tylko 300. Przy określeniu granic Polesia autor wkroczył na teren Podlasia, co maćci już nieco linję narracji krajoznawczej i zostało mu wytknięte nawet przez nacjonalistycznie usposobionych krytyków.

Etapami pracy Ossendowskiego są kolejno: ziemia, lud, krajobraz, wierzenia, stan obecny i horoskopy na przyszłość. Wnikając w metodę opisową autora, przekonywujemy się rychło, że nie daje on całkiem wiernego obrazu rzeczywistości, lecz ją nałogowo po literacku koloryzuje, raz dyskretniej, drugi — nawet jaskrawo. Znamca syberyjskich tajg i afrykańskich piasków, czyni autor z bagien poleskich i ich mieszkańców coś nieprawdopodobnie pierwotnego, niemal jaskiniowego, jakąś jedyną w Europie oazę lub rezerwat pranatury i pracłowieka. Tymczasem dobrze przetrząsnawszy starą Europę, wśród zapadłych wiosek górskich lub wyspiarskich osad rybackich, tak w Hiszpanji, jak w Rosji, możnaby znaleźć analogiczne i niemniej znamienne zakątki, gdzie mało jeszcze pracowała ręka człowieka, a „król stworzenia” zachował swe minimalnie skażone przez kulturę oblicze.

Zachwycając się Polesiem, jako tematem, Ossendowski tyleż się zachwyca i ideą skolonizowania go i spolszczenia, jaka w następstwie swem musiałaby doprowadzić do tego, że Polesie przestałoby już być... Polesiem, a Poleszuc... Poleszukiem. Osobliwa to miłość i brak konsekwencji, gdy z pod szaty rozkochanego w przyrodzie podróżnika — krajoznawcy, wyłania się wielce interesowny polityk i spekulant. Przykładów takiego nastawienia jest sporo. Oto mówiąc o swoistych cechach *klitek* poleskich, Ossendowski nie zapomni dodać: „Architektura poleska po kilkunastu latach zniknie zapewne”.

Jak rozumie Polska swe obowiązki (jeśli tylko wolno użyć tego terminu w dobie statolatriji) względem Polesia? Pisarz odpowiada na to: „Polska w znacznej mierze poznała już ten świat”..., i słusznie uważa za zadanie państwowe szerzyć tu społecznienie obywatelskie, lecz widzi je jedynie bodaj w „powodzeniu odbywającej się tu racjonalnej kolonizacji”! By jednak użyty przed chwilą termin zbyt nie raził uszu świadomego rzeczy mieszkańca

Polesia, Ossendowski wnet dodaje, że praca ta odbywać się będzie „drogą wpajania w ludność tego bagienno-leśnego kraju zdrowego pojęcia jej własnych, najżywotniejszych interesów i wygod”. Ważka obietnica, ale czy ziszczalna przy systemie kolonizacyjnym?...

Czynnikami tego procesu mają być, poza administracją, wojsko, kościół, szkoła, osadnicy... Rzecz znamienita, Ossendowski szczególnie dużo obiecuje sobie po wojsku. „Doskonałe warunki służby i panujące w wojsku stosunki” pozwalają, według jego mniemania, mówić o „cywilizacyjnych wpływach wojska”. „Szczególnie (zaś) potężną szkołą dla ludności poleskiej jest Korpus Ochrony Pogranicza — słynny K. O. P.”. Kopiści więc tworzą dziś jakby zakon mohortów kresowych...

Kler diecezji pińskiej, jak zresztą każdej innej u nas, idzie w olbrzymiej swej większości na pasku endecji. Prym jednak pod tym względem trzymają zakony i kongregacje, które w latach ostatnich, jak dowodnie przekonywa nas *spis kościołów i duchowieństwa diecezji pińskiej w R. P. 1935*, dokonały istotnie masowego najazdu na Polesie. Otóż za szczególną zasługę przybyłych z zachodnich dzielnic Rzeczypospolitej zakonów męskich i żeńskich uważa Ossendowski: *Utwierdzenie w kraju najistotniejszych, bo moralnych praw Polski do tej ziemi*. I jak wobec tego nie mówić o swoistej okupacji Kościoła przez żywoły endeckiel!..

Po kilkunastu latach polskiej pracy oświatowej, sieć szkolna na Polesiu wykazuje dziś zgórą 1.300 szkół ludowych z przeszło 2.100 nauczycielami i ponad 90 000 dzieci. Liczba gimnazjów, państwowych i prywatnych, wynosi znowu 14 z 5.000 uczniów i uczenic. Pracy tej ma przyświecać „tolerancja i etyka polska, nie znosząca przymusu językowego i religijnego”. Czy tak jest w istocie, mógłby osądzić tylko ktoś z Poleszuców, jako konsument dobrodziejstw powyższych.

Wreszcie polskie osadnictwo. Oddajemy tu głos Ossendowskiemu: „Polska zaludnia wszędzie pierwiastkiem czysto polskim — kadrami byłych wojskowych i pozbawionych ziemi włościan polskich”. „Polesie do r. 1920-go duchowo — „niczyje”, stopniowo polskim przepaja się duchem”. W ten sposób kraj, gdzie widniał jeszcze niedawno, jak mówi historja, znak Pogoni na murach i bramach Pińska, Dawidgródka, Turowa, Słucka, Kobrynia i Brześcia Litewskiego, wchłonięty dziś jest przez „twórczy element polski, zawsze kierowniczy i opiekuńczy w stosunku do poleskiego ludu”. Prawdziwie *Herrenvolk i Düngervolk*. Wszystko w tym kraju było dosłownie złe, zanim *Piastowy Orzeł Biały* nie rozpostarł nad nim swych skrzydeł!..

Osobno Ossendowski potrąca o swoistą religijność Poleszuców. Zgodnie z prawdą, wyrzekł autor, że *nie wymarły... tu tradycje unickie*, które nawet gdziekolwiek zabarwiają miejscowy katolicyzm i prawosławie, nacechowane ignorancją i bezmyślnością w rzeczach wiary i obyczajów, oraz iście rekordową zabobonnością.

Transkrypcja słów białoruskich w książce części jest błędna.

Sporo słów z gwary leśniczkiej podał autor w osobnym słowniczku na końcu książki, znacznie jednak więcej zostało bez wyjaśnienia.

Graficznie książka wygląda okazale.

Dr J. Hwicz.



## Bibliografia.

Kantak Kamil ks. *Bernardyni Polscy*. T. I. 1453—1572. T. II. 1573—1795—1932. Lwów 1933.

Datę ukończenia tej pracy stanowi r. 1934-ty, kiedy ukazał się 60-stronicowy do niej indeks nazwisk, miejsc i rzeczy. Nie czekając na wyjście jego z druku, zamieściliśmy już w „Przeglądzie Wileńskim” zaczerpnięty z tego dzieła skrót dziejów bernardyńskich na Litwie i Białorusi. To usprawiedliwia pewne opóźnienie się, z jakim ukazuje się dziś sprawozdanie.

Gdy umierał przed kilku laty najwybitniejszy polski monasterjolog, Jan Marek Antoni Giżycki (znany przeważnie pod pseudonimem Wołyniaka), mogło się zdawać, że w dobie wzmożonych zainteresowań materialistyczno-uitylitarnych chwili obecnej, bodaj nie znajdzie się już ludzi, coby zechcieli uprawiać monasterjologję naukową. Tych jednak, którzy tak myśleli, spotkał tym razem przyjemny zawód, bo oto jesteśmy dziś świadkami niebyłego renesansu naszej monasterjologii. Najpoważniejszą pozycję w tym liczącym już szereg dzieł dorobku nie wątpliwie stanowi duża syntetyczna a źródłowa praca ks. prof. dr. Kantaka o bernardynach polskich. Autor od szeregu lat pracując piórem i na katedrze profesorskiej nad historją Kościoła w Polsce, specjalnie się interesował i interesuje dziejami zakonnej *familiae Franciscanae* (bernardyni, bernardynki, franciszkanie, reformaci i in.) w b. Rzeczypospolitej ogłaszając swe studja tak w języku polskim, jak francuskim i niemieckim. Ogromny materiał źródłowy, przeważnie rękopiśmienny, a dotychczas jeszcze nietknięty, został przez historyka bernardyńców gruntownie przedstudjowany. Niejedna też podróż naukowa dla kwerendy historycznej była przezeń podjęta w latach ostatnich. Dlatego omawiane tu dzieło jest nie tylko historją, lecz prawdziwą encyklopedją wiadomości o tem wszystkim, co się złożyło na barwny obraz, jakim był *świat bernardyński* b. Rzeczypospolitej. Nie ma chyba rzeczy związanej z bernardynami, któraby została tu pominięta. Jest to więc wierny przewodnik po tym świecie bernardyńskim, *vademecum* dla badaczy, co już zaczną opracowywać dzieje fragmentów poszczególnych tej wielkiej całości.

Dużo zawiera praca ks. Kantaka materiału, który specjalnie zainteresuje badacza przeszłości Litwy i Rusi. Nawet świeccy badacze rozwoju idei litewskiej, białoruskiej i ukraińskiej znajdą tu wiele ciekawego dla siebie. Pełnemi garściami będą mogli czerpać interesujący się u nas kulturą wieków minionych, ich tłem obyczajowym, owoczesnemi stosunkami, prymitywnymi pojęciami o higjencie i t. d.

Wyborny indeks ułatwi wszystkim adeptom wiedzy historycznej korzystanie z pracy ks. Kantaka, a łacińskie obszernie *prooemia* udostępnią ją nawet zagranicy.

Tylko bardzo mało, i to drobnych jedynie usterek, znalazło się w pracy ks. Kantaka. Żeby nie być gołosłownym, wytknę tylko nieścisłą widać informację o miejscu dawnej dzwonnicy bernardyńskiej w Wilnie, również błędne podanie nazwy pochowanego tu księcia Fryderyka Pruskiego, jako *Pruńskiego* (jeśli to nie omyłka druku).

Sprawozdanie kończymy gorącą zachętą autora, by wydał teraz analogiczne dzieło, poświęcone dziejom franciszkanów konwentalnych w Rzeczypospolitej, równie szeroko uwzględniając historję konwentalów litewskich i białoruskich. Dziś nikt tego lepiej od ks. Kantaka dokonać nie potrafi. *Wat.*

*Pasaulio Lietuviai*. Redagavo P. Ruseckas. Kaunas 1935.

W roku bieżącym odbędzie się w Kownie pierwszy zjazd Litwinów, mieszkających stale poza granicami Litwy. W związku z tem Centralny Komitet (DULR) wydał pod redakcją P. Ruseckasa książkę ilustrowaną pt. „Litwini w świecie”.

Książka ta zawiera mnóstwo artykułów informacyjnych o życiu Litwinów, przebywających w obcych państwach.

Wydawnictwu można zarzucić brak mapy rozmieszczenia Litwinów po świecie; (przynajmniej należałoby uwzględnić ważniejsze skupienia), oraz brak statystyki Litwinów, zamieszkujących w poszczególnych państwach.

Nas najbardziej zainteresował artykuł A. Kasakajtisa „Litwini w Warszawie i ich walka w sprawie Litwy”. Tytuł zbyt szumny, ponieważ Litwini warszawscy żadnych walk nie prowadzili, co jest zupełnie zrozumiałe. Pertraktacje zaś Litwinów warszawskich z czynnikami politycznymi nie miały poważniejszego znaczenia. Poza to w artykule A. Kasakajtisa jest sporo nieścisłości. Nic autor nie wspomina o Towarzystwie Litewsko-Łotewskiem w Warszawie, które powstało 1904/5, a w którym często przebywał M. Czurlonis i gdzie, zdaje się, wykrystalizowała się jego narodowość litewska. Poza ks. Kulwieciem w kościółku przy ul. Moniuszki—miewał kazania po litewsku śp. ks. bp. Matulewicz, przyjeżdżający w tym celu z Bielan. Autor pominał szereg osób, które istotnie odegrały dużą rolę w wyszukiwaniu i uświadamianiu Litwinek i Litwinów rozrzuconych po całej Warszawie, nic również nie wspomina o uroczystym obchodzie 125 lecia Konstytucji 3 maja (3.V.19'6), w którym wzięli udział także Litwini w grupie „Koła W. ks. Litewskiego”, występującej pod sztandarem—Pogoni. Skoro wspomina o tym sztandarze (Pogoń na tle niebieskiem, zamiast na czerwonym), to należało zaznaczyć, że właśnie na tę uroczystość sztandar był zrobiony. Ci, co zaprojektowali ten sztandar, świadomie popełnili błąd, a to w tym celu, aby wśród wielkiej ilości sztandarów polskich — sztandar Litwy się wyróżniał. Ten właśnie sztandar był później w użyciu przy łada okazji.

Ponieważ p. A. K. mimochodem wspomina o Litwinach w Sosnowcu i Łodzi — powinien był przedewszystkiem cośkolwiek napisać o przedwojennem Towarzystwie Litewskiem w Łomży, które było najliczniejsze i najruchliwsze, bo składało się z ludzi inteligentnych. Do wybitnych członków należał ks. Aleksandrowicz. Był też członkiem przez pewien czas K. Sokołowski (Vanagelis).

Szkoda, że autor nie uwzględnił procesu (tło i powodu) wynarodawiania się Litwinów w Warszawie i wogóle w Polsce, z tych obserwacyj naocznego świadka możnaby było wyciągnąć pewne praktyczne wnioski. *V. Sak.*

---

**Poprzedni numer (N. 9) „Przeglądu Wileńskiego” uległ konfiskacji z rozporządzenia Starostwa Grodzkiego za artykuł R. Mackiewicza p. t. „Dziad przemówił do obrazu”.**

---